

Edward Słoński

Jeszczem wciąż pełen wiosny...

Jeszczem wciąż pełen wiosny...

Pannom Jachowskim na pamiątkę od autora.

*Druk Piotra Laskauera i S-ki,
Warszawa, Nowy-Świat 41.*

Jeszczem wciąż pełen wiosny...

WIERSZE EDWARDA SŁOŃSKIEGO
WARSZAWA · 1909 · NAKŁADEM AUTORA ·

PANI WANDZIE HOSEROWEJ



1

Jeszczem wciąż pełen wiosny
i czekam na swój los,
a już mi jesień późna
siwizną srebrzy włos.

Mówią mi przyjaciele:
— Ty dzisiaj już nie ten! —
I prawda! we mnie codzień
umiera nowy sen.

Gaśnie mi zwolna życie,
niby w popiele skra,
nad uchem jakiś grajek
na skrzypkach ciągle gra.

Dobywa coraz głębszy
i uroczystszy ton —
w drewnianych skrzypkach płacze,
jak na pogrzebie dzwon.

— To nic, druhowie mili,
że mi bieleje włos,
jeszcze jest moja wiosna,
jeszcze mój przyjdzie los ...

2

Czekam tak swego losu
jeden i drugi rok ...
Dni moje coraz krótsze
odchodzą w szary mrok.

Odchodzą w senną cichość
gdzieś za dziesiątki staj,
a mnie się śni po nocach
rozkwitający maj.

Coś się do lotu zrywa,
coś woła w przestrzeń, w dal ...
Stary już jestem, stary,
a tak mi wiosny żal.

Na kwietnik kolorowy
ktoś zsypał miał i gruz,
ostatnie georginie
pod oknem zwarzył mróz.

Mówią mi przyjaciele:
— Ty dzisiaj już nie ten,
nalał się gorzkim jadem
twój niespokojny sen. —

— To nic, druhowie mili,
jeszcze pójdziemy w tan,
zakwitnie jeszcze paproć
w nocy na święty Jan!

3

Takeś mi przeszła, wiosno,
takeś odeszła stąd,
że nie zostało śladu
Zielonych twoich świąt.

Spaliło złote słońce
dojrzewający łan,
a paproć nie rozkwitła
w nocy na święty Jan.

Żaden się sen nie sprawdził,
żaden się nie stał cud,
pod rdzą jesieni kona
ostatnia z moich złud.

Mówią mi przyjaciele:
— Przekwitł twój wonny maj!
Baśniom o nowej wiośnie
raz wreszcie spokój daj. —

— To nic, druhowie mili,
jeszcze nie przeszedł czas,
kwitnący maj napewno
przyjdzie niejeden raz...

4

Jeszcze rok jeden minął
i jeszcze jeden rok —
duch szukający słońca
odszedł w wieczysty mrok.

Wzięli druhowie trumnę
i opuścili w dół...

— Teraz to już napewno
będziesz tu wiosnę czuł...

10 września 1908 r.

WĘDROWNY PTAK

1

...A kiedy od północy
jęły się wichry zrywać,
wszystkie wędrowne ptaki
zaczęły odlatywać.

Codziennie z pól wymarłych
zrywały się o świcie,
codziennie nowym kluczem
ginęły gdzieś w błękicie.

2

Jeden się tylko został
na polu chory ptak —
oczyma tęsknie mierzył
przebytej drogi szlak,

podnosił smutnie głowę,
skrzydłami w ziemię bił —
z towarzyszami lecieć
nieborak nie miał sił,

A kiedy na ugory
spadł w nocy pierwszy śnieg,
lazurowego morza
jemu się przyśnił brzeg.

Jęły go z sobą wołać
tęsknoty szumem fal,
aż wreszcie nie wytrzymał
i poszybował w dal...

3

...I spadły zawieruchy
na wędrownego ptaka
i jęły mrozem szczypać
i kąsać nieboraka;
wiatr skłębił śnieżne puchy
i wstał, i chce zasypać
śniegiem chorego ptaka.

Zabłąkał się od stada —
sam nie wie, dokąd leci...
Jeszcze nie szumi morze,
jeszcze słońce nie świeci!
Wiatr huczy i śnieg pada,

a jemu śnią się zorze, —
konając, w słońce leci.

— Jakie cię wiodą zorze,
biedny, wędrowny ptaku,
że giniesz śród zamieci
na tym północnym szlaku?
Tu dziko szumi morze,
tu słońce trupio świeci,
biedny, wędrowny ptaku!

— Wołają mnie tęsknice
dalekim szumem fal;
woła mnie z tych bezdroży
bezdomny jakiś żal...
Rozstąpcie się, śnieżyce!
ja lecę w sen o zorzy,
ja lecę w szumy fal!

4

Niepokalaną bielą
okrył się zmarzły trup —
północne wichry ścielą
ptakowi biały grób ...



PO LATACH

1

Do swoich wracam mogił,
znajomy witam szlak —
ja pielgrzym zabłąkany,
wędrowny, chory ptak...

2

Przymrozki zrana bielą
pod lasem rżyska płowe,
pod nogi mi się ścielą
dywany kolorowe.

Ktoś kładzie na gór stokach
bursztyny i krwawniki,
ktoś wiesza na obłokach
wędrownych ptaków krzyki.

Rozpełzły się dokoła
szelesty po mogiłach...
Ktoś woła?... Nikt nie woła —
krew tylko tętni w żyłach.

Odchodzę w senność złotą,
gdzie do WIECZNOŚCI proga
wczorajszą mą tęsknotą
znaczona biegnie droga.

Odchodzę na kraj świata,
gdzie we mgle sennej dali
grób umarłego lata
czerwoną rdzą się pali.

Nad grobem echa grają
pieśń o wędrownym ptaku,
a liście z drzew spadają
i kładą się na szlaku.

3

Do swoich wracam mogił,
znajomy witam szlak —
ja pielgrzym zabłąkany,
wędrowny, chory ptak.

4

W tym domu przed wielu laty...
W tym domu... śród czterech ścian —

działy się ciche dramaty —
szron warzył przedwcześnie kwiaty,
mróz niszczył nieżżęty łan.

Budziły się jakieś wiary,
na Alleluja grał dzwon,
potem w pochmurny dzień szary
śmierć wydzwaniały zegary,
przedwczesny wieściły zgon.

Z tych czterech ścian pobielanych
w daleki wyszedłem świat,
od mogił swoich kochanych
szedłem do ludzi nieznanych,
każdemu spotkaniu rad.

Błądziłem po różnych światach,
tęsknotą do słońca gnan —
i dzisiaj po tylu latach
znów chodzę po tych komnatach,
znów błądzę pośród tych ścian.

U wejścia na dzikie wino
czerwone kładą się rdzy,
a w sali stare pianino
pod miniaturką matczyną
mówi: — Odpoczniesz i ty! —

5

O tak, przyszedłem odpocząć,
przyszedłem z trosk ochłonąć,

a muszę żywym ogniem
krzywd swoich małych płonąć;

otwierać chore serce,
strąconych bogów chwalić
i gorejącą żagwią
serdeczne rany palić...

6

Na czerwonawe pozłoty,
na zwiędłych liści zwoje
rozkładam swoje tęsknoty,
rozkładam smuteczki swoje...

Pod koralami jarzębin
na starym, porosłym grobie
dobywam je z jakichś głębin
i kładę rzędem przy sobie.

jak zgrzebne płótna bielone,
leżcie na słońcu i wichrze,
wy — z moich bólów zrodzone,
smuteczki moje najcichsze!

7

Tak na mogiłach swoich
znajomy witam szlak —
ja pielgrzym zabłąkany,
wędrowny, chory ptak...

Inflanty Polskie.

W SŁONCU

1

Wesołe nastało święto
po dniach pochmurnych i złych —
podwójne okna wyjęto
i wyniesiono na strych.

Na zakurzone foliały,
na stosy pożółkłych ksiąg
wonne oddechy powiały
od pól dalekich i łąk.

Przez okno weszły ze świtem,
gdy w polu znikł pierwszy śnieg
i pierś nalały błękitem,
jak czarę winem po brzeg.

2

Ktoś stanął u mojej ściany
i ciągle woła mnie w dal:

— O srodze ty oszukany
tułaczu, jak mi cię żal!

— O srodze ty oszukany,
dziś chociaż z łoża się zwlecz,
boś wszystkiem z ziemią związany,
a odchodzący już precz! —

— I po co mam jątrzyć rany?
i po co mam wstać i iść,
gdy jestem, jak ów zerwany
z rodzimej gałęzi liść?

3

Na drogę wybiegły dzieci
pod młyn, gdzie szumi gaj...
— To prawda, że słońce świeci!
— To prawda, że idzie maj!

— To prawda! to prawda, dzieci!
Weselcie się, póki czas,
bo słońce raz tylko świeci
i życie jest tylko raz!

— A gdy się ziemia zakwieci,
pachnących narwijcie ziół,
bo stolarz trumnę już kleci
i grabarz już kopie dół.

W majowe rano przed świtem
odejdę samotny stąd
i zginę gdzieś pod błękitem,
jak ginie pod morzem ląd.

Pół życia przyjdzie zostawić,
bom tylko połową żył!
A wy pójdziecie się bawić
i zapomnicie, żem był...

Z PAMIĘTNIKA

1

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód
i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód...

2

Obłąkał mnie od świtu
nieukojony żal,
nakryła mnie błękitu
i szumów pełna dal.

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.

Dokoła światy biegą
i zapadają w cień...

Tak wszedł tułactwa mego
na niebie pierwszy dzień.

3

Okwitła jakaś wiosna,
zgasł jakiś cudny dzień —
ostatnia polska sosna
rzuciła na mnie cień.

Mignęła przed oczami
i zaszumiała w ślad:
— Za mgłami, za górami
twój cały został swiat... —

Mignęła przed oczami
i weszła w błękit, w las...
— za mgłami, za górami
nie ujrzysz więcej nas. —

4

Za mgłami za górami,
gdzie wczoraj księżyc zbladł,
zabity gdzieś deskami
malutki leży świat.

Wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech,
a w jaką spojrzysz stronę,
tam piaski, albo mech.

Na piaskach sosny drzemią
i krzyże patrzą w dal...
Jakże mi ciebie, ziemio,
na tej obczyźnie żal!

5

— W jaką to idziesz stronę? —
pytały, jak na śmiech,
wioseczki zadymione,
przyziemne rzędy strzech.

— Cóż poczniem my samotne? —
mówiły, jak na śmiech,
pieseczki moje lotne
i rudy skrzypiał mech...

6

Czasem tak jest w ojczyźnie,
że komuś miejsca brak,
więc trzeba na obczyźnie,
swej drogi znaczyć szlak.

To znów wypędzą kogo,
jak psa, na głód i chłód:
— Gdy ciebie głody zmogą,
zdychaj u cudzych wrót! —

7

My, jak wędrowne ptaki,
znamy i głód i chłód

i leżą nasze szlaki
na zachód i na wschód.

Na jednych my napróżno
do kraju tężym słuch —
i karmi się jałmużną
męczeński nasz KRÓL-DUCH.

Na innych orkan dziki
gra, jak cmentarny dzwon,
i sypie mogilniki
tułaczom z naszych stron.

8

Za mgłami liliowemi,
za srebrną wstęgą rzek
dalekiej mojej ziemi
ostatni zginął brzeg.



MORZE

Na piaski twoje złote,
pod twój błękitny szum
przyniosłem dziś tęskotę
codziennych swoich dum.

I stoję tak bez słowa
pod blasków twoich grą,
jak muszla kolorowa
pokryta zwierzchu rdzą.

NA MORZU

1

Dzisiaj tęsknotą gnani,
wpatrzeni w zorzę,
uciekliśmy z przystani
na pełne morze.

2

Błękitne szumy fal
z pod ciężkich skrzydeł mew
rwą się i płyną w dal,
niby uroczny śpiew...

Słucha w błękitach Pan,
jak morze bije w dzwon,
patrzy, jak z srebrnych pian
wyrasta Jego tron.

Od brzegu kędyś w dal
odbiła nasza łódź...
Ktoś mówił: — mosty spal! —
ktoś mówił: — wszystko rzuć! —

Spaliłem mosty już,
uciekłem w obcą dal,
a za mną w bezkres mórz
mój stary poszedł żal.

Na ciężkich skrzydłach mew
przypłynął Bóg wie skąd
i mówi: — Szumem drzew
tam ciebie woła ląd! —

3

Ostatni most spalony,
więc płyńmy, płyńmy w dal...
Może, jak sen prześniony,
zginiemy we mgle fal.

Wiatr, niby mgłę, rozwieje
ból naszych wszystkich ran,
a morze nam uleje
sarkofag z srebrnych pian.

Przyniesie nam z wybrzeży
znajomych głosów ton
i w głębi gdzieś uderzy
w zaczarowany dzwon.

4

A gdy zahuczy dzwon,
na wielkich wód rozlewy
z dalekich, obcych stron
przylecą białe mewy,

zatoczą nizkie koła
i krzykną z góry nam:
— Nikt z lądu was nie woła,
nikt was nie czeka tam! —

L O S

1

Z szafirowego morza
woła mnie cichy głos:
— Tam, kędy gaśnie zorza,
w błękitnych nurtach morza
leży na dnie twój los! —

Z szafirowego morza
woła mnie cichy głos:
— Wstań, zanim błyśnie zorza
i płyń, gdzie w nurtach morza
twój zatopiono los! —

— Białe ci mewy wskażą,
gdzie zdala od wybrzeży
pod fal błękitnych strażą
twój los od wieków leży

— Białe ci mewy wskażą,
w jaką masz stronę płynąć,
gdzie stać z pogodną twarzą,
gdzie wszystkie żagle zwinąć. —

2

Wziąłem łódeczkę małą,
najmniejszą łódź na brzegu,
od deszczów poczerniałą,
nieprześcignioną w biegu.

I wziąłem od rybaków
rybacką starą sieć...
Za sznurem białych ptaków,
łódeczko moja, leć!

3

Przyszli rybacy z sioła
i jęli o mnie radzić:
— Powiada: coś go woła,
coś chce go w dal prowadzić. —

Schylili smutnie czoła
i szepcą tajemniczo:
— Powiada: coś go woła,
a to gdzieś mewy krzyczą! —

— A może... — rzekł najstarszy —
Kto wie, co mu sądzono?

Może tam skarb monarszy
gdzieś w nurtach zatopiono.

— Bóg wie co go przygnało,
co znajdzie, co postrada?
Niech jedzie... wróci cało,
nie wróci — trudna rada!

— Pogrzebiem sakwę z kijem
na naszym mogilniku
i siecią grób okryjem
przy mew żałobnym krzyku. —

4

Z brzegu rybaczka hoża
przez łzy patrzyła w dal,
na mgły wstające z morza,
na białe grzywy fal.

Ubrała wonnym wrzosem
rybacką moją łódź
i pełnym płaczu głosem
mówiła: — Prędko wróć!

— Gdy błyśnie dzień na niebie,
świąteczny włożę strój
i czekać będę ciebie,
gołąbku biały mój! —

5

— Warkoczy płowych nie czesz,
lic nie myj białą pianą,
nie czekaj mnie w odwieczerz,
nie czekaj jutro rano.

— Pojutrze wyjdź na morze,
korale wdziej matczyne
i spojrz w gasnącą zorzę —
być może z niej wypłynę...

— A jeśli nie wypłynę,
nie czekaj mnie napróżno —
w wspienionych wód głębinę
rzuć sakwę mą podróżną.

— A jeśli nie wypłynę
z pod zorzy w wieczór ów,
korale zdejm matczyne
i za mnie pacierz mów.

6

Wiatr srebrne chmury zwełnił,
łódź popłynęła w dal,
dech morza pierś napełnił
błękitnym szumem fal.

Pod białe skrzydła mewie
mój biały żagiel wbiegł,
w błękitnym wód rozlewie
znajomy zginął brzeg.

Mgły się pokładły nizko,
na niebie księżyc zbladł...
Zda się tu Bóg tak blizko,
a tak daleko świat.

7

Przede mną mewy, lecąc,
na wodzie kładą cień,
ogniową łuną świecąc,
za dniem umiera dzień.

A ja w bezkresy jadę,
błękitną gonię dal,
na białe mgły się kładę,
zapadam w szumy fal.

Stąd, gdzie się łuny palą
wciąż idzie do mnie głos:
— Tam za dziewiątą falą
twój zatopiono los... —

Więc płynę dalej, dalej
pod zorzę po swój los,
by na dziewiątej fali
ten sam usłyszeć głos.

8

Warkoczy płowych nie czesz,
lic nie myj srebrną pianą —
nie wrócę dziś w odwieczerz,
nie wrócę jutro rano.

Mijają dni za dniami,
zawodzą wichry w głos...
Daleko pod falami
na dnie mój leży los!



GDYBY...

Gdyby można było falą na piasek wypłynąć,
wynieść z głębi groźnych wirów i rozpęd i moc,
całem wielkiem niebem błysnąć i nazawsze zgi-
[nąć,
wsiąknąć w ziemię, w szarą cichość, w wiekui-
[stą noc!

Gdyby można było w zorzy, w czerwonym za-
[chodzie
białą mewą gdzieś odlecieć w lazurową dal,
białą plamką się zatracić czy w niebie, czy
[w wodzie,
gdzieś w obłokach, czy gdzieś w pianach pię-
trzących się fal!

MEWY

Na dalekie, na błękitne rozlewy
poleciały białe mewy — hej, mewy...
Poleciały białe mewy o świcie —
i już giną, jak motyle, w błękicie.

Pod wysokim, lazurowym namiotem
stoję cichy, upojony ich lotem —
białe mewy jeszcze w dali migocą,
a ja nie wiem dokąd lecą i po co?

MGŁY

Morze do nieba wyrosło,
mgły w dole i w górze tam...
Rzuć w szarą topiel swe wiosło —
czas już odpocząć i nam.

Świat gdzieś daleko za nami
wszedł w szare wody i mgły...
Na szarych wodach pod mgłami
odpoczniem wreszcie i my.

Łódź zatrzymała się w biegu,
ogień gdzieś błysnął i zgasł..
Nikt nas nie czeka na brzegu,
nikt z mgły tej nie woła nas.

TUŁACZE

Płynęliśmy długo gnani
przeczuciem blizkiego świtu,
szukaliśmy wciąż przystani
w zatoce pełnej błękitu.

Wiedzieliśmy, że jest przecie
gdzieś dzień słoneczny i biały,
a wicher gnał nas po świecie
i szrony na nas padały.

GDZIEŻ JEST?

Gdzież jest nasz sen o wichrze,
który przychodzi zdala
rybakom żagle rwać?
Gdzież jest nasz sen o wichrze,
co wodom nie pozwala
na jednem miejscu stac?

Dziś morze jeszcze cichsze,
dziś jeszcze mniejsza fala...
Gdzież jest nasz sen o wichrze?

Gdzież jest nasz sen o burzy,
co wirem morskiej głębi
kadłuby statków gnie?
Gdzież jest nasz sen o burzy,

co oceany kłębi
i nieba ogniem rwie?

Dziś morzu spokój wróży
wysoki lot gołębi...
Gdzież jest nasz sen o burzy?

BAŚŃ

Przez całą noc do świtu
na morzu wicher grał...
Ktoś do mnie zszedł z błękitu,
ktoś długo przy mnie stał.

Pod księżycowem złotem
twym głosem szeptał wciąż
i ramion twych oplotem
owijał mnie, jak wąż.

W pustelnię moją białą
ktoś z nieba błękit zlał,
i długo morze grało,
i księżyc złoto siał.

I tak skroś noc do świtu
przez księżycową jaśń,
ktoś z szumów i z błękitu
tkał czarodziejską baśń.

JAK ÓW WICHR POLEM WIEJĄCY...



1

Jak ów wichr polem wiejący,
tak chciałaś odejść stąd precz,
a ludzie przyszli i rzekli:
— Swój ból ty wciąż jeszcze wlecz! —

Bo ludzie po ludzku sądzą,
przyziemnie umieją żyć —
chcą wichr na ziemi zatrzymać,
a niebem nie chcą mu być.

Więc, żeś tak była bezdomna,
jak wicher ów rwący w dal,
tej ziemi ci i tych ludzi
i życia nie było żal.

Myślałaś: — Jakoż żyć będę,
idąca w nicość i w mrok,

i jakoż będę, żyjąca,
samotnieć z roku na rok? —

Myślałaś: — Raz wreszcie skończę,
odejdę stąd wreszcie raz! —
A ludzie przyszli i rzekli:
— Nie nastał jeszcze twój czas!

2

I prawda, że czas nie nastał —
śnieg jeszcze nie pokrył pól,
na których będzie kiełkował
worany w ziemię twój ból.

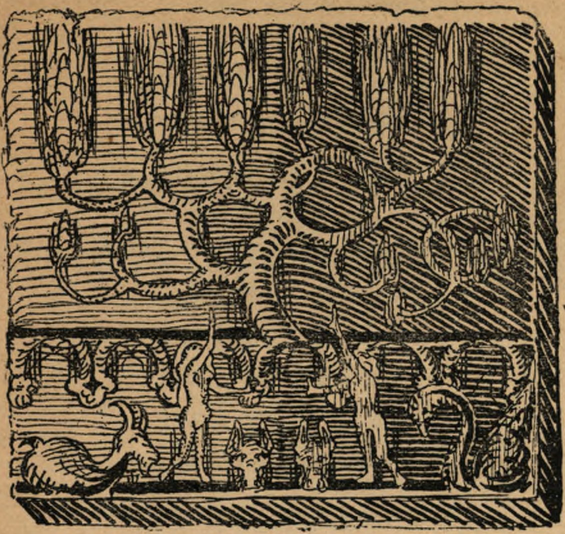
Poczekaj — przyjdzie kwitnący,
szumiący lipami maj,
okryje się zielonością
za młynem brzozowy gaj.

Popłyną śpiewy po rosie,
zaszumi kłosami łan —
i może zakwitnie paproć
w noc jakąś na święty Jan.

Zaświeci słońce, zaświeci,
rozwieją się mgły i mrok,
i będziesz ty jeszcze miała
choć jeden swój dobry rok...,

1 listopada 1908 r.

ZA KRATĄ



Więzienia rzadki gość,
po dniach pochmurnych wielu
do mojej celi wpadł
dziś słońca blask uroczy
i z poza grubych krat
tak patrzył w moje oczy,
jak gdyby mówił: — Dość
cierpiałeś, przyjacielu! —

Jak gdyby mówił: — Tam
z drzew liście zaczną spadać,
szron zwarzy lilii puch
brylantów swych tysiącem —

i pójdzie ludzki duch
z tem latem konającem
gdzieś u wieczności bram
z tęsknoty się spowiadać...

— Patrz w te ostatnie dni
odchodzącego lata,
jak pajęczyny nić,
twój sen się srebrem mieni! —
— Idź sobie, słońce, idź!
nie dla mnie czar jesieni!
Tu są bez klamki drzwi,
a w oknie gruba krata.

Po celi z kąta w kąt
obłędnym jakimś cieniem
snuje się cichy żal
i łka, jak jęk kajdanów...
Ktoś mówi: — Próżno w dal
na złote morza łanów
myśl twoja rwie się stąd
pragnieniem i tęsknieniem. —

Wstający ze snu dzień
zmęczoną duszę budzi,
przychodzi ogniem zórz
pożary wielkie niecić..
— Idź sobie słońce już
i przestań w oczy świecić —

niech mnie zasłoni cień
od świata i od ludzi!

Napróżno! zewsząd tu
blask jakiś wielki prószy,
za skrą wybucha skra,
z pod krat tęsknoty wstają...
Ktoś gra... ktoś zda się gra, —
i tony drżą i łkają,
i baśń dawnego snu
opowiadają duszy.

Złowróżbnie huczy bas,
melodya znana rwie się —
zabraknie wkrótce tchu,
już serce bić przestaje...
... Po coś ty przyszła tu?
Przekwitły nasze maje...
Tu taki ciemny las —
tak straszno w ciemnym lesie!

Wiatr wszystkie szumy zwiał
gdzieś na rozstajne drogi —
patrz, jak dokoła nas
znieruchomiały drzewa...
oniemiał cały las...
kur na opłotkach śpiewa...
na niebie dawno wstał
i pobladł nów dwurogi.

Gdzieś na brylantach ros
już się rozbrzaski płonią,
na gwiezdny idą szlak
i wszystkie gwiazdy gaszą...
Ktoś podniósł krwawy znak:
„Za waszą i za naszą!"
Pobudki słychać głos!
Nie! to kajdany dzwonią...

II

W sąsiednich celach kajdany dźwięczą,
w okienku słońce siadło na kracie
i krzyczy żywych promieni tęczą:
„Powieś się, bracie! powieś się bracie!“

Z kątów rozpaczna tęskność wyziera
i jakiś smętek głuchy i niemy...
Mrok gwiazd się budzi, gdy dzień umiera —
nic żyć nie zacznie, gdy my umrzemy!

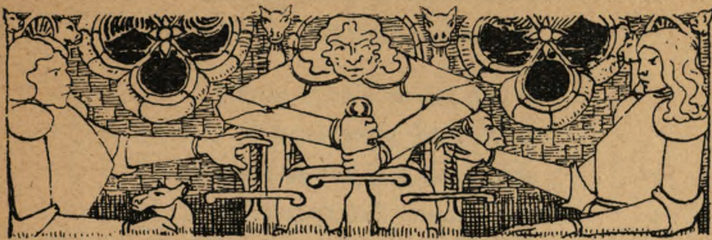
III

W nocy na głowie jeży się włos,
strach ślepooki wpełza przez próg,
sklepionej celi zwęża się łuk,
w gardle bezdźwięcznie umiera głos.

Jak dokuczliwe brzęczenie os,
uszy napełnia kajdanów zgrzyt
i ciężkie kroki zakutych nóg

ludzi patrzących w zorzę i w świt
i na ofiarny idących stos
z wiarą w wyśniony w podziemiach myt.

ZAMIAST WIĄZANKI KWIATÓW...



Nad trumną
Aleksandra Smacznińskiego

Zamiast wiązanki kwiatów,
rzuciłem dziś w Twój dół
garść ziemi tej, pod którą,
jak żywy będziesz czuł.

Jak żywy będziesz leżał,
patrzący z grobu w świat,
cierpiący wraz z żywymi
i wraz żywymi rad.

Umarły będziesz czekał,
czy wzejdzie gdzie Twój siew,
boś w ziemię tę przed laty
wsiał swoją żywą krew.

Więc zamiast wonnych kwiatów,
przyniosłem z naszych pól

garść ziemi, w której dojrzał
we krwi rosnący ból.

Niech leży w Twoim grobie,
niech Twój wypełnia dół
ten święty pył, pod pod którym
Ty będziesz Polskę czuł!

Cieniom
Jana Adamowicza (Pilińskiego)

Przyszedłeś do nas z obcych stron
tajemny jakiś nakaz dawać
i uderzyłeś w wielki dzwon,
jako że czas już było wstawać.

I serce, jak płonący lont,
dobyłeś z piersi pełnej krzyku
i tak na wiek odszedłeś stąd,
tułaczu nasz i żołnierzyku!

Ty w chłopskiej świcie jasny pan
i chłop siermiężny w pańskiej szacie,
wsiąkłeś, jak rosa, w orny łan,
zgasłeś, jak świeczka, w chłopskiej chacie.

PRZEKŁADY

CHMURKI

z Lermontowa

Chmureczki mleczne, pątniczki wieczne,
perłowym sznurem przez niebios szranki
z zimy dalekiej w południa śpieki
błądząc płyniecie, jak ja, wygnanki!

I co was goni z śnieżnej ustroni?
losów wyroki, nadziemskie prawa?
dzika nienawiść, tajona zawiść,
druhów potwarze, czy zbrodnia krwawa?

Nie! Was znudziły śnieżne mogiły,
obce wam męki i łzy rozstania,
wy — wiecznie chłodne, wiecznie swobodne,
nie macie gniazda, ani wygnania.



PRZEKWIT

z Ryszarda Beer Hofmanna

Czyż cię zgrozą nie przejęłoby, powiedz,
drzewo, które nigdy kwiatów nie zmienia,
i tak stoi, niby Wiosny Grobowiec,
pełne śmierci w swym przepychu kwitnienia?

Kwiatom śni się czas purpury i złota,
rdzawy uwiąd wybujałej zieleni,
w ich kielichach śpi bezbrzeżna tęsknota
za dostałą dojrzałością jesieni.

Od wierzchołów do najgłębszych korzeni
w drzewie krąży i pulsuje zawzięcie

ta tęsknota do przekwitów jesieni,
w których żyje wiecznie nowe poczęcie. .

Kwiaty — owoc — i nasiona! Któż zgadnie,
gdzie początek, a gdzie koniec istnienia?
z wonnych kwiatów, gdy puch wonny opadnie,
w ziemię wsiąka pył nowego nasienia.

Więc się nie smuć, bo w przekwitach dojrzeją
nowe ziarna, które dadzą puch biały!
I kamieniom nie mów, po co wietrzeją,
gdy się one przeradzają w kryształy.

Idź, jak ziarno, przez rozkwity i zgony
i, jak kwiaty, duszę w słońce otwieraj
i, jak one, z wiecznych praw nie zwolniony
ze spokojną dostojnością umieraj.

Odnajdź w sobie tę najdalszą pokrewność
z gwiazdą, z drzewem i z kamieniem, co drze-
[mie,
i, jak gwiazda, idź w błękitów rozlewność
i, jak kamień, w samym sobie miej ziemię.

Gwiazdy mają swoje drogi w błękicie,
ani niżej, ani wyżej nie chodzą...
Mierzysz czasem i przestrzenią swe życie,
a to złudy, które zmysły twe rodzą.

Wmurowałeś swoje życie bezwolne
w jakieś ciasne, półzmysłowe pojęcia —

skrusz te mury, te granice mozolne
między śmiercią, a minutą poczęcia!

Patrz, nad tobą i pod tobą daleko
gwiazdy krążą nieskończonym wyrajem —
wstań a pojmiesz pod ich świetlną opieką,
że nikt nie był i że wszyscy się stajem.

PROMETEUSZ

z Goethego

Skryj, Dzewsie, niebo swe omanem chmur
i, jak ów malec ścinający osty,
nie żałuj chłosty
dębom i zrębom gór!
Przecie mi z pod nóg tej ziemi koliska
nie wydrzesz ani mi się nie rozgościsz
w tej chacie, którą od węgłów do pował
nie tyś budował,
ni w niej żywego nie zgasisz ogniska,
choć mi go tak zazdrościsz.

Bogowie! Niemasz zaiste pod niebem
większych nad was nędzarzy!
Żebranym ofiar chlebem
majestat wasz się tuczy,
czczy dym wdychając z ołtarzy.

I bylibyście z pewnością
już dawno dożyli zagłady,
gdyby nie dzieci i praszalne dziady,
głupcy z swą ślepą ufnością.

W dzieciństwie, pomnę,
oczyma nieświadomemi
szukałem w górze ciebie,
jakby tam jakie ucho było w niebie,
mogące słuchać wołań Syna Ziemi
i jakieś serce ogromne,
jak moje serce,
udolne odczuć człowieka w rozterce.

Kto dał mi schron
przed przemocą Tytanów?
Kto mnie od śmierci ratował?
Kto obręcze kajdanów
na nogach moich rozkował?
Czy on?
Nie, to ty, serca mego święte płomię,
ty, co się z każdym umiesz zmagać trudem,
ty, oszukane urojonym cudem
śpiącego gdzieś w niebios ogromie!

Mam wielbić ciebie? Za co?
Czyś z barek ujął komu
ciężaru? Czyś wchodził do domu,
gdzie ludzie nadzieję tracą

i dał im choć złomek oręża
na srogie boje?
Nie! Hartownego ukuł ze mnie męża
Czas wiekuisty
i Los swoisty
władce dwa — moje i twoje.

Zaliś przypuszczał, że mi Byt zohydzisz,
iż nie rozkwitły wszystkich snów mych kwiaty,
a więc uciekne gdzieś w puszczę z tej chaty?
Nie, tu mnie widzisz!
Tu chcę urabiać ludzi na wzór swój,
tu pokolenia całe ręka ma
wyuczy znosić głód i znój,
zdobywać wszystkiego zadość,
grążyć się w radość
i tak nie dbać o ciebie, jako nie dbam — ja!

tłómaczyłem wspólnie
z A. Niemojewskim.



WYROK. *z A. Majkowa*

Podanie o Janie Husie.

Na soborze Konstancyeńskim
starcy w modłach posiwiali
dla kacerza Jana Husa
karę śmierci obmyślali.

W długiej mowie doktór czarny
po gorących zdań wymianie,
rozpatrzywszy mąk rodzaje,
proponował ćwiartowanie.

Radził męką najstraszniejszą
zbuntowane życie złamać:
grzeszny język z gardła wydrzeć,
żeby nie mógł bogu kłamać.

Spalić trup, trzy razy przekląć,
skoro nie chciał się ukorzyć —

i przeklęty proch trzykrotnie
pod idący wiatr położyć.

Niech tak szczeźnie, ten co bluźnił
i kacerskie spiski knował!
Taki wyrok na Soborze
doktór czarny proponował.

Zachwyceni jego mową,
starcy w modłach posiwiali,
w bogobojnem zachwyceniu
— Bene... bene... — powtarzali.

Każdy ślepe swoje oczy
kładł na krzyżu z pańską męką,
każdy czuł, że bunt kacerski
doktór wprawną przeciął ręką.

Każdy czuł, że hydrę zwątpień
święty sobór wreszczie zdusił,
jeno tego nikt nie przeczuł
że ich szatan będzie kusił.

Był tam paź — miał w oczach gwiazdy
i kędziorów len na czole —
strasznej mowy kaznodziei
nie zrozumiał paź-pacholę.

Przypatrywał się, jak pełzną
po gotyckich łukach cienie,

jak się snują po ornatach
przez gasnących zórz czerwienie.

Jak się z mroku wydzielają:
czaszki łyse, wygolone,
twarze dobre i łagodne,
twarze złe i zasępione.

Potem spojrzał paź przez okno
w krwawy blask gasnącej zorzy —
za nim zwrócił się do okna —
sam sufragan — sługa boży...

Za nim w okno odemknięte
jeden, drugi okiem rzucił —
w stronę okna do ogrodu
cały Sobór się obrócił.

Obejrzeli się za siebie
i biskupi, i prałaci,
i książęta i hrabiowie,
i z Sorbonny deputaci.

Nawet papież żółte ręce
z pożółkłego zdjął brewiarza,
spojrzał, westchnął... sen o życiu
nagle powiał od cmentarza.

Sam orator doktór czarny
po godzinnej przeszło mowie

wraz z innymi spojrzał w okno,
zbladł i urwał na pół słowie.

Coś się stało w ciemnym sadzie
pod kwitnącem jakiemś drzewem,
zapłonęło w oczach zorzą,
zaszumiało w uszach śpiewem.

Czy to wieczór zaczarował
odchodzący dzień w zaświaty?
Czy to rosy zadzwoniły,
opadając gdzieś na kwiaty?

Nie! to w sadzie słowik śpiewał,
miłowaniu dań oddawał,
z pod drzew ciemnych i kwitnących
czar młodego życia wstawał.

Słowik śpiewał... Każdy wspomniał
taką samą pieśń słyszaną
gdzieś nad Renem, w Neapolu,
w jakiś wieczór, w jakieś rano.

Każdy wspomniał śmiechy, śpiewy,
win paryskich moc wystałą
i niemieckich szynków Hebę
Rozczochraną i omdlałą.

Każdy wspomniał jakieś lata
przemarzone, przekochane,

złotą przędzą dni najlepszych
gdzieś na sercach haftowane.

Zwilgotniały suche usta
i przejrzały ślepe oczy —
niech tak śpiewa! niech tak śpiewa!
niech kochania czar roztoczy!

Był tam starzec... z pustyń głuchych
przez papieża zawezwany,
wkrótce został za swe życie
kardynałem mianowany.

I on wspomniał, jak w pustelni
w nocy zrywał się z posłania,
budząc w grzesznej swojej duszy
moc świętego przebaczania.

Więc wyszeptał: — „Bożym sądom
ludzie wyrok niech zostawią!
Bracia! bracia, Hus niewinien!
Jego głowę ciernie krwawią...

Skroń pochylił i pod zorzą
stał zgnębiony i złamany...
— „Bracia — szeptał — wszak tak samo
cierpiał Bóg ukrzyżowany!“...

Lecz zlękniony własnem słowem,
na różańcu złożył ręce

i na dywan padł bezwładny,
i bezwładny jęczał w męce:

— „Zaryglujcie drzwi i okna
i tak módlcie się do rana,
bo nas grzesznych oczarował
i opętał głos szatana.

„Bracia, korzę się przed wami —
myśli plotły się bez związku...
zapomniałem o modlitwie
i o świętym obowiązku.

„Szatan wstąpił w nasze progi,
między nas wszedł przed wyrokiem
i przez moje usta krzyknął:
— „Hus niewinien! Hus prorokiem!“...

I ogarnął nagle wszystkich
jakiś wielki lęk i zgroza.
Papież wstał — i zaśpiewali
„Stabat mater dolorosa!“ —

A gdy czuli, że odeszła
w ciemność wieczną moc szatana,
przed złoconym krucyfiksem
wszyscy padli na kolana.

A gdy wstali po modlitwie,
zapatrzeni w nocne cienie,

Jana Husa dla przykładu
osądzili na spalenie.

Nie skusiła świętej wiary
żadnym czarem zła pokusa.
Uciekł szatan — i spalili
niewinnego Jana Husa.

Nad jeziorem, nad Bodeńskiem
Rozgniewany szatan latał —
i najsłodszych kwiatów wonią
do niewinnych dusz kołatał.

Widział jego mnich zaspany,
widział jego stróż kościelny,
widział rajca, idąc z szynku
po pijatyce niedzielnej.

SPIS RZECZY:

Rysunki na okładce i w książce: Z. Kamińskiego, A. Kędzierskiego i T. Ulanowskiego.

TEGOŻ AUTORA:

DLA MOJEJ PANI. Warszawa 1898 r. (wyczerpane.)
Z WIOSENNYCH DUM. Warszawa 1908 r. (wyczerpane).
POEZYE. Warszawa 1899. (wyczerpane).
OBŁĄKANY. Poemat odznaczony na konkursie „Prawdy" (niewydany).
** * * zeszyt bez tytułu. Warszawa 1900.*
POEMATY: PIEŚŃ, MARY. Warszawa 1901. (wyczerpane).
DO BOGA. Poemat. Warszawa 1901 (wyczerpane).
NOC. Warszawa 1902. Nakładem księg. M. Borkowskiego.
WIESIO. Wilno 1903. (wyczerpane).
OKRUCHY. Wilno 1904.
PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI. Warszawa 1904.
FRAGMENTY. Warszawa 1905.
BEZIMIEŃCE. Opowiadania dzisiejsze Warszawa 1907. Nakł. Tow. OrgelbrandaSynów.
PRZEBUDZENIE. Warszawa 1907. Nakład „Książnicy" (skonfiskowane).